

Z Czernicy w świat.

Z prof. Henrykiem Mikołajem Góreckim, kompozytorem, rozmawia Marek Mariusz Tytko

- Urodził się pan w Czernicy, czyli jest ona dla pana krajem dzieciństwa, rajem utraconym. Jak głęboko czuje się pan związany z tym miejscem?

- Urodziłem się, ale tam wiele nie mieszkałem, bo tylko do śmierci mojej matki. 6 grudnia 1935 roku zmarła moja mama, kiedy ja miałem dwa lata. Później tułaczka aż do wybudowania domu w Rydułtowach. Później szpitale: Katowice, Bogucice, Istebna. To przed wojną. A potem - Bytom. I większość młodości to właściwie nie spędziłem w Czernicy, tylko w Rydułtowach, ale **CZERNICA JEST DLA MNIE SYMBOLEM. CZERNICA TO COŚ MOJEGO**. Czy raj utracony? To się okaże. W każdym razie **CZERNICA JEST CZERNICĄ DLA MNIE**. To jest takie **PIERWSZE MIEJSCE**, za którym tęsknię i chętnie się tam wybieram. Mam jeszcze resztki mojej rodziny w Czernicy.

- Kuzyn Joachim...

- To brat stryjeczny. I tak łezka mi się kręci, bo była możliwość tam sobie wybudować domek, taki kącik dla mnie, lecz przepałem sprawę. Ale **CZERNICA JEST DLA MNIE BARDZO WAŻNYM MIEJSCEM NA ZIEMI**.

- Był pan ochrzczony w Pstrążnej w parafii św. Mikołaja. Czy dlatego ma pan na drugie imię - Mikołaj?

- Nie, ale dlatego, że urodziłem się 6 grudnia. Ojciec nie chciał, abym miał na pierwsze Mikołaj, bo jakoby - powtarzam to, co moja babcia mi opowiadała - we wsi był jakiś Mikołaj, matołek, niedorozwinięty, więc dlatego. Ojciec uparł się przy Henryku. Płatał mu się jakiś tam cesarz niemiecki czy książe polski. Na trzecie imię mam Józef, bo matka strasznie kochała i lubiła Józefka świętego. Henryk Mikołaj Józef - to są moje oficjalne przy chrzcie i w dokumentach urodzenia - te trzy imiona.

- Gdzie i kiedy przyjmował pan Pierwszą Komunię Świętą i Sakrament Bierzmowania?

- Komunię w Rydułtowach u św. Jerzego 1 lipca 1945. Bierzmowanie tamże, kiedy chodziłem do gimnazjum. Naszym takim wspólnym ojcem chrzestnym był - bo to cała klasa w gimnazjum szła wtedy do Bierzmowania - był... pan Dreinert, jak się nie mylę, który prowadził chór, gimnastykę, geografę i był wychowawcą naszej klasy w latach 1948-1951.

- Dreinert był pierwszym pańskim nauczycielem muzyki?

- Nie, nie. Pierwszym nauczycielem był pan Hajduga w Rydułtowach. Uczył mnie gry na skrzypcach, a później, po wojnie, gry na fortepianie. Hajduga mieszkał w Rydułtowach. Amator-malarz, amator-rzeźbiarz, konstruktor różnych dziwnych mobili-przedmiotów, grywał na różnych instrumentach.

- Joachim Górecki też na skrzypcach grał wtedy z panem w duecie. Twierdził, że po godzinie już „wysiadał”, a pan grał po trzy-cztery godziny dziennie.

- Tak to było. Takie zabawy urządaliśmy sobie u niego w Czernicy. Była to nauka dla przyjemności, a nie - profesjonalna gra. Uczyliśmy się u amatora.

- Kto pierwszy zachęcał pana do gry na instrumencie?

- Kto pierwszy? Ja sam. Matka grała na fortepianie. W domu było pianino. Mam je do dzisiaj w pracowni w Katowicach. To jest jedyna pamiątka po mojej matce.

- Czy w czasie gimnazjum już pan coś komponował?

- Czy to można nazwać komponowaniem? Za dużo powiedziane. Takie jakieś skrobałem nutki sobie.

- W gimnazjum był pan człowiekiem skromnym, grzecznym, cichym, indywidualistą...

- Trudno powiedzieć. Teraz po latach różne teoryjki się opowiada. Jaki byłem? Chyba zwyczajny. Chciałem być normalny. Byłem uczniem przeciętnym. Miałem wtedy siedemnaście lat i chciałem się uczyć.

- Po zdaniu matury w 1951 roku w Rydułtowach uczył pan w szkole podstawowej w Radoszowach. Czy odczuwał pan naciski polityczne?

- Byłem wychowawcą trzeciej i czwartej klasy. Uczyłem wszystkiego. Prowadziłem nawet teatrzyk amatorski. jeździliśmy po okolicznych wsiach z jakąś sztuką. Pisałem wiersze do różnych przedstawień, uczyłem dzieci gry na skrzypcach. Czy były jakieś naciski polityczne? Jeszcze wisiał w klasie krzyż i na początek lekcji była modlitwa.

- Pracując w latach 1951-1953 jednocześnie uczył się pan w Średniej Szkole Muzycznej w Rybniku (1952-1955) na wydziale instruktorsko-pedagogicznym...

- Tam uczono muzyki. Byli bardzo dobrzy nauczyciele - Zorychta, Gruca, pani Bernardt, Malikowa, no i wspaniali Szafrankowie... A z kolegów - pamiętam Krysię Skupień, Bernarda Biegonia, Wiesia Szlachtę, Stefkę Mikietę, Krysię Kernerównę, Krysię Zielazną, Irkę Morawiec, skrzypków - Szymurę, Karwota, Tronta. Paleczny - chłopczyzna maleńki bardzo, bardzo młodzieńki chłopczyk...

- Nie przypominam sobie pańskiego zdjęcia na tzw. tableaux przedstawiającym absolwentów szkoły, chociaż wiele lat oglądałem je, chodząc do rybnickiej Szkoły Muzycznej...

- Bo ja jej nie ukończyłem. Po trzeciej klasie poszedłem do Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach na Wydział Teorii Kompozycji do prof. Szabelskiego. Trudno mi wyróżniać profesorów. Każdy w swoim fachu był dobry. Wiadomo, że Szabelski był Szabelskim, ale wszyscy pracowali na mnie.

- W PWSM był pan prymusem. Szkołę tę ukończył pan z najwyższym odznaczeniem.

- Czy byłem prymusem? Wielu było prymusów w tej szkole. Kilar, Jasiński, Żmudziński, Stempel...

- Kiedy pierwszy raz wyjechał pan na Zachód?

- W 1961 roku do Paryża. Wygrałem Konkurs Młodych Kompozytorów. Pierwszą nagrodą był właśnie wyjazd do Paryża. Później mogłem wyjeżdżać na Zachód, kiedy chciałem. ale bardzo często przeszkadzały mi choroby. Często chorowałem.

- W 1965 roku został pan wykładowcą w PWSM w Katowicach. W 1975 wybrano pana jej rektorem. Jak pan ocenia te lata?

- Jak ja je oceniam? Może nie powinienem był uczyć? Nie powinienem był pracować? Miałbym więcej czasu dla siebie. Może to byłoby najciekawsze? Może tak byłoby najlepiej? Może to był błąd? Zrezygnowałem w 1979.

- Z jakich powodów?

- To nie ważne, proszę pana. Ja jestem taki człowiek, który bardzo nie lubi wykorzystywania słabości przeciwnika i chwalenia się potem po czasie, co się to robiło. Jest to teraz diabelnie modne. Robiłem zawsze to, co robiłem i robię, i będę robić. Niech każdy odpowiada za siebie raz. Nie nam sądzić. Tylko Pan Bóg nas będzie sądzić. Ja się nigdy nie podpierałem, ani Kościołem, ani „Solidarnością”, ani polityką, ani niczym. Mnie to było niepotrzebne. Wyznawałem pewne rzeczy i wyznaję je do dziś. I są dla mnie święte.

- Stefan Kisielewski nazwał pana utwór „sorealizmem liturgicznym”. Skąd ta opinia?

- Stefan to zawsze tak powtarzał. To jest jego sprawa. Też już, biedaczyna, nie żyje. Lubię w oczy komuś coś powiedzieć. Długie godziny z Kisielewskim gawędziliśmy. A teraz już mi nie wypada. Powiedział sobie - no to powiedział.

- Od kiedy datuje się pańska współpraca z Kościołem? Chodzi mi o pisanie utworów, które potem były w kościołach grywane.

- Jestem wierzący i praktykujący. Jaki jestem - to mnie Pan Bóg oceni. Ale ja nigdy nie współpracowałem. Ja pisałem muzykę. Całe życie piszę muzykę. Jedyne zamówienie dostałem od kardynała Wojtyły, żeby napisać utwór.

- Kisielewski miał za złe, że pan napisał utwór dla... Papieża i dlatego on nie może się do tego utworu przyczepić.

- To jest już jego sprawa - zostawmy ten epizod.

- Kiedy uczęszczałem do Szkoły Muzycznej w Rybniku - tam, gdzie pan przed laty - uczono nas o trzech żyjących największych polskich kompozytorach: Lutosławskim, Pendereckim i Góreckim. Zaś Encyklopedia Muzyczna PWM poświęca panu trzynaście stron. Szczegółowo omawia pańską twórczość. Jakby pan ją określił?

- Wie pan, ja nie przywiązuję wagi do wielu rzeczy. Nie rozdrapuję, nie analizuję każdego słowa, które o mnie i mojej karierze napisano. Czterdzieści lat twórczości - to jest szmat drogi. Ja nigdy nie szufladkuję. Mnie się wydaje, że zawsze piszę to samo. I będę pisać stale to samo. A kto co widzi w tym - to jest jego sprawa. Robię to, co robię i robię to całe życie. I będę to robić do końca. Utwory czy dobre czy złe - to ja wiem najlepiej. I nikt mi nic nie wmówi. Ani się krytyką nie przejmuję, ani się pochwałą nie przejmuję. Jak wiem, że spartoliłem, to wiem, co spartoliłem. Jak zrobiłem dobrze, to wiem, co dobrze zrobiłem. I to wszystko.

- Czy powroty do tradycji dla pana jako awangardzisty mają jakieś znaczenie?

- Nie, zawsze piszę to, co pisałem i nie są to żadne powroty. Piszę to, co chciałem. Tym się zajmowałem całe życie. A wszystkie etykiety to nie ja.

- Których kompozytorów uważa pan za swoich mistrzów duchowych?

- Bardzo wielu. Tylu jest tych Bachów, Mozartów, Chopinów, Beethovenów, Szymanowskich, Schubertów, Brahmsów... Jest Ives, Debussy, Szostakowicz, Bartok, Strawiński, Messiaen. Interesuję się całą muzyką.

- A w tej chwili - gdzie pan lubi komponować?

- W domu siedzę i pracuję. Domu, który dzierżawiłem dawniej w Chochołowie, już nie mam. Sprzedano go. Od trzech lat siedzę w mojej pracowni w Katowicach i tam pracuję.

- Jakie ma pan metody tworzenia?

- To jest wyłącznie prywatna, moja sprawa, którą się nie dzielę z nikim.

- Marzeniem Mickiewicza było „trafić pod strzechy”. Płyta z nagraniem pańskiej III Symfonii sprzedała się w USA i Wielkiej Brytanii w nakładzie ponad dwustu tysięcy egzemplarzy i od trzech miesięcy zajmuje pierwsze miejsce na liście najlepiej sprzedających się płyt z muzyką poważną.

- Ja nie marzę, żeby trafić „pod strzechy”. Marzę o tym, żeby ludziom była potrzebna muzyka. Nie moja, ale w ogóle muzyka. I żeby ta muzyka coś dla nich znaczyła. A jaka? To już jest tyle muzyk cudownych... To jest jedyne moje marzenie.

- Dziękuję za rozmowę panu profesorowi.

Rozmawiał: Marek Mariusz Tytko

Katowice, dnia 28 lutego 1993

Źródło: Z Czernicy w świat. Z prof. Henrykiem Mikołajem Góreckim, kompozytorem, rozmawia Marek Tytko, „Czas Krakowski”, r. 4: 1993, nr 84 (828), s. 10-11.